

# NOWINY

Wychodzi co piątku, z dodatkiem muzykaljów, mód, wzorów i krojów.

Cena do końca b. r. . . — złr. 50 ct.

z dodatkiem . . . . . 1 " — "

za pięć miesięcy . . . 1 " 50 "

z dodatkiem . . . . . 3 " — "

pismo tygodniowe

z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy franco przysyłać należy:

Do wydawnictwa „Nowin” we Lwowie, w drukarni Kornela Pillera.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.”

## Moskal.

Powieść z ostatnich czasów

nie Bolesławity.

(Ciąg dalszy).

Trzy lata minęło od wywiezienia Barskiego.

Pod okiem hrabiego, w towarzystwie starej swej ciotki, Różia wyrosła na piękną pannę Różę, której tak co do wdzięków, jak i przymiotów duszy nie było równej w okolicy.

Syn sprawnika, ten, który łzami żegnał Barskiego, już student uniwersytetu, czas wakacyj przepędza u ojca, i niemal codziennym gościem jest w sierocym dworku, gdzie go widują radzi.

Dmytro objawszy gospodarstwo po wywiezionym Barskim, jest sługą i bratem młodej sieroty. Hrabia nieco się postarzał, sprawnik poczerwieniał bardziej, a Iwan Iwanowicz wysechł i pozieleniał — otóż i wszystko!

O Barskim jedni mówili, że zginął od szaszki czerkiesa, drudzy, że jest na drodze do uzyskania stopnia oficera; pewności nie było, bo listy skazanego przejmowała władza na poczie, a Iwan Iwanowicz, wprzód odczytawszy z uwagą, następnie niszczył je, mając w tem jakiś interes, z którym wszelako nie zwierzał się przed nikim; czuł tylko, że z każdym dniem bardziej podoba mu się dworek Barskiego i piękna szlachcianeczka, jak nazywał Różę. Niby ważył się Iwan Iwanowicz koło dworku i panny; chował pazury, i udawał zakochanego; ale mu jakoś szło niesporo: panna i ciotka bez humoru przyjmowały piśmowoditela, a Dmytro taką miał minę, że o febryczne drzenie przyprowadził aspiranta do ręki i dworku pięknej szlachcianeczki. Zresztą i Michał mu przeszkadzał; nieraz przyciął boleśnie, parę razy pogroził, i psuł piśmowoditeliowi opinię u kobiet. Ale Iwan Iwanowicz miał wolę niezłomną; co postanowił, to zwykł dopiąć, nie bacząc na sumienie i tym podobne drobnostki... Chce i będzie miał Różę — bo tak postanowił! Piśmowodiciel nie ukrywał tego przed sobą, że z Michałem czeka go gorąca przeprawa, bo już to chłopiec nie napróżno przyłgnał tak sercem do sierocego dworku; nawet widoczny przymus zadawał sobie, będąc w domu ojca; a dopiero u Barskich można go było widzieć swobodnym, szczęśliwym.

Nasza ziemia i słońce dziwną mają potęgę w sobie! Kogo pierwsza wykarmi, a drugie skąpie w swych promieniach — już się staje bratem nam z ducha.

Syn sprawnika, moskal rodem, sam o tem nie wiedząc był polakiem. Łzy, które, według słów Barskiego, miały okupić sprawnika, nie były już łzami moskala. Michał

brzydził się despotyzmem, chciał wolności szczęścia wszystkich — a takim Moskal nie bywa; nie trzymał z brutalną siłą, nie zasklepiął się w egoizmie, ale stanął po stronie cierpiących, co gdy czyni moskal — przestaje być sobą. A kiedy następnie poznał czystą polską dziewczę, jaką była Róża, gdy ją pokochał całym zapalem młodej duszy — duchowe odrodzenie moskala nastąpiło zupełne! i dziś Michał, z całą świadomością, gotów był z synami wolności iść na działa, wymierzone przez braci jego z ciała, a wrogów z ducha — moskali!

I z taką to siłą w nas chcą walczyć nieprzyjaciele nasi, nie pojmujący ducha potęgi! Podobni są oni do żelaza, które kruszy złoto — nie zbrudzi go, ale samo wyszlachetnieje, złocąc się.

..... Jest godzina druga z południa. W kancelarii sprawnika przy stole zavalonym kupami papierów, na którym stoi karafka z wódką, siedzi ten przedstawiciel cara, i ciężko oddycha, a białka oczu krwią mu zasły. W kącie wychudły Iwan Iwanowicz, z szatańskim wyrazem twarzy, patrzy na swego pryncypała, i kiedy niekiedy złośliwy uśmiech przeleci po jego spieczonych wargach.

Milczącą scenę przerwał spawnik, wychyliwszy szklankę wódki, którą następnie tak mocno o stół uderzył, aż przysła w kawały.

— Czort waźmi, ja prapał! (bierz licho, zginąłem) — zawołał głosem najwyższej rozpacz. — Wygowor (wymówka) od gubernatora... To już nie ma żyć poci! Palaki — grafy! przez was ja nieszczęśliwy! — dokończył, zwiesiwszy głowę ku piersi. Wreszcie gniewny zawołał:

— Iwanie Iwanowiczu! Czegoż ty milczysz! przynajmniej pij ze mną..

— Wypil' można... (wypić można) — zrobił uwagę piśmowodiciel, wychyliwszy szklankę spirytusu.

— Przekłete polaki! i ja człowiek prapaszczyj! (zgubiony) — wołał sprawnik.

Iwan Iwanowicz przez chwilę stał w milczeniu; wreszcie rzekł zwracając się do pryncypała.

— Możeby temu można zaradzić... Graf nie święty — dodał, znacząco spojrzawszy na sprawnika.

Ba! poradź że z nim — krzyknął sprawnik. — Ledwie wjadę na folwark już mi wynoszą pięcioróblówkę — Tak graf przykazał... podjadę pod pałac — dają kraśnienuku; (10 rubli sr.) a w przedpokoju, bud' ja biestja! (niech mię licho) już czeka na mnie dwudziestopięcioróblówka! Czort pabieri! ten graf umie gadać z ludźmi! i ja z nim do ładu nie dójde.

— Ale jego przewoschoditelstwo chce...



— Chce! chce! — przerwał sprawnik z rozpaczą — i ja duszę bym oddał, żeby tego grafa wpakować na Sybir; ale zróbże mu co, kiedy płaci, i siedzi spokojnie!

— Jabym myślał inaczej — znacząco rzekł piśmowoditiel.

— Iwan Iwanowicz! — porwał się sprawnik. — Krzyż cię nie minie i łaska hosudarska, tylko powiedz, jeżeli co wiesz!...

— Ono ja nic nie wiem — począł Iwan Iwanowicz — ale polaki zawsze skorzy do buntu; możnaby pomysśleć... Hrabia ma syna w Kijowie; on był w Warszawie, a tam *palaki szumiat* (burzą się polacy)...

— *Szumiat palaki* — powtórzył sprawnik — twoja prawda! Ale coż tu graf, co syn jego!... zkad tu wziąć Sybiru?

— Możeby Misza...

— Mój syn?

— On się zna z młodym grafem; są razem w Kijowie... Mógłby nam dopomóc...

— Jak pomódz? co on tu poradzi!

— Niechby się zgłosił do grafów...

— Gdzie go tam oni puszcza! — zawołał sprawnik — Mnie nie przyjmują, a coż mego syna!...

Iwan Iwanowicz uśmiechnął się.

— A syna przyjmą — rzekł z naciskiem — bo u polaków nie tak jak na całym świecie: oni ojca za drzwi wyrzucają, a syna za stół sadzają; taka u nich natura...

— Twoja prawda! U tych bestjów wszystko nie po ludzku. To cożby Misza poradził?...

Niechby z młodym grafem niby bunt *zatiejał* (zaczął)... Ale on nie zechce! on taki dumny...

Sprawnik wybuchnął.

— Musi! Czy to on nie mój syn, żeby się sprzeciwiał mojej woli. Gubernator chce — car chce! a carskiej woli i w niebie słuchają! Twoja rada Iwan Iwanowiczu podobą mi się. Wańka! zawołaj mi tu Miszę! niech przyjdzie natychmiast.

Deńszczyk wykreślił się po wojskowemu na pięcie, i znikł za drzwiami, z wiecznem echem swego istnienia. — *Słuszajus!* (słucham)

— Iwanie Iwanowiczu, ty dobrze poradził. Młodzi zawierają sobie; Misza namówi go do buntu, a wtedy obu grafów *machnę* do katorgi...

Dalsze słowa sprawnika przerwało wejście Michała.

— Kazałeś mnie wołać ojcie — rzekł młodzieniec, kładąc na stole przyniesioną książkę; na którą, jak wyżeł, rzucił się Iwan Iwanowicz.

— Pan Michał — złośliwą zrobił uwagę — zawsze z polską książką...

— A coż to panna obchodzi? — zapytał młodzieniec, wzrokiem pogardy mierząc nędzną figurę piśmowoditiela.

— Mnie nie! ale to nie dobrze widzi naczałstwo...

— Iwan Iwanowicz! *perestań* (przestań) — przerwał mu sprawnik, a zwracając się do syna:

— Misza! — rzekł — ty mój syn, i musisz mi dopomóc. Gubernator grozi mi na starość wypędzeniem

ze służby, i pójdę na żeby, jeżeli ty mnie nie poratujesz.

— W czym mogę ci być pomocnym? ojcie!

— Słuchaj! naczałstwu potrzeba, ażeby grafa oddać do katorgi...

Michał zadrżał.

— Ty nam pomożesz — mówił sprawnik. — Zbliź się do młodego grafa, namów go do spisku... Misza, syn mój ratuj starego ojca...

Twarz Michała zbladła; odgarnął z czoła długie jasne włosy, i wpatrzył się w twarz ojca; po chwili łą mu oczy zasły.

— Ojcie! — rzekł — ty nie mówiłeś tego do syna... Nie! to być nie może, byś ty chciał hańby swego dziecka.

— Wot i polskie muchy, sentymenty, poezja! — zawołał sprawnik — Misza! *nie duraczsza* (nie rób głupstwa) — ty już nie dziecko! Jaka tu hańba? Tu poprostu: wola gubernatorska — wola carska, a ona dla nas zakòn!

— Ojcie!...

— Ja zawsze mówiłem — przerwał synowi sprawnik — że *pokojna*, (nieboszczka) Bóg jej daj *carsstwo niebesne!* (królestwo niebieskie) zrobi z ciebie czort wie co! — Misza! ty nam pomożesz!

— Nie, ojcie — odpowiedział spokojnie młodzieniec.

— Nie?

— Nie! przez pamięć dla imienia matki nie przestanę być człowiekiem.

— Misza! — przerwał mu sprawnik — ty nie człowiek, ty sługa cara!... my wszyscy jego słudzy! i mamy robić co on przykaże. Car chce, by zginął Polak... winny czy niewinny — niech ginie! to nasza powinność. — Nam robić, co każe naczałstwo.

— Nigdy! — z oburzeniem zawołał Michał. — Nikt mi nie może nakazać być podłym!

— Wot i polskie książki! — wybuchnął piśmowoditiel. — Wot romansy z *charoszeńkoju polkoj!*.. (z piękna polką.)

— Misza! — przerwał mu sprawnik — dziś jeszcze pojedziesz do grafów. Ty kolega, pogadaj z młodym, po...

— Nie zrobię tego — przerwał ojcu Michał — Jestem synem sprawnika, ale szpiegiem nie będę!

— *Czto!* (co) — porwał się sprawnik, a pjaną usta mu zasły — kto mówi o *szpionach!* (szpiegach.) Ty *russskij*, ty moja krew, i musisz słuchać naczałstwa! ty *czistarusskij!*...

— Jestem człowiekiem! — z godnością odrzekł ojcu młodzieniec.

— Wot *filosoffja!* — syknął piśmowoditiel, z pogardą patrząc na Michała.

— Misza! — zawołał sprawnik, wstrzymując się, ile mu sił starczyło. — Ja wiem, że ty student, że masz czyn czternastej klasy... ale ty ojca nie rozwsiećkaj! bo ja piechotą pójdę do cara, i zrobię cię rekrutem!

— Będę wszystkim, ale nie podłym — zakończył Michał, wychodząc z pokoju.

Sprawnik osłupiał z podziwu, piśmowoditiel gryzł wargi.

— Misza! — ryknął sprawnik po chwili — wróć się do ojca!.. Nie wrócił... *buntowszczyk!* mój syn *buntowszczyk!* Wot *palaki!* (oto polacy) wot co mi z syna zrobili!.. W si-



*bir! w katorgu! wsiech, wsiech!* (wszystkich) Ja wam poka-  
że, co może sprawnik!.. Misza! Misza! ty mnie zgubisz!..  
Ty jeden syn u mnie, i ty mnie gubisz...

Sprawnik upadł na krzesło, i zakrył twarz rękami.

— Polskie mleko... polska krew — mówił piśmowo-  
ditiel — podziękujecie *pokojnej!*..

— *Małeczat, padlec!* (młodziuś! dotrze!) — krzyknął spra-  
wnik. — Ty mi żony nie tykaj; ona była polka, ale święta  
kobieta — ja tobie mówię, a ty mnie wierz! Ty mię nie  
szczuj na syna! bo on mnie gubi, ale on nie *wor*, (zło-  
dziej) nie taki jak ty i ja!

*Wodki!* — wykrzyknął, przechylając karafkę ze spiry-  
tusem. — *Wot tak!* A ty Iwan Iwan Iwanowicz *prasti!*  
(daruj). Ja wściekły, ja nie wiem sam co mówię. Wygo-  
wor od gubernatora, — a mój syn dał mi staremu w pysk,  
i *pokojna*, widzisz, jak mi grozi z nieba. — *Wańka ka-  
raul!* \*) Brońcie mnie, bo ona strasznie patrzy!.. Cha,  
cha, cha! mój syn *padlec* i ja *skatina*; (bydlę) *tolko car  
da Bog*, (tylko car i Bóg) — a reszta proch, marna glina...  
*Wodki!* jeszcze *spirtu!*

Wysączył do kropki z karafki, i upadł na ziemię, bez  
znaku życia.

— *Skatina!* — mruknął Iwan Iwanowicz — I jemu  
to być sprawnikiem! Co obiecałem — dotrzymam: w szpi-  
talu, u inwalidów zginiesz *głupaja baszka!* (głupia głowa). —  
Kopnął pijanego nogą, i wyszedł z pokoju.

Sprawnik, tocząc pianę z ust, wołał nieprzytomnie.

— *Misza! padlec, wodki!* (D. c. n.)

## Z WRAŻEŃ PODRÓŻY.

### La Campagna romana.

Co za widok poetyczny  
Tej kampanji starej Romy!  
Tam na prawo ciche morze,  
Tam na lewo gór załomy,  
A przedemną pole boże  
Jak rozwarta prawdy księga.  
Na niem zwita Tybru wstęga.

Niech odpoczne niech podumam,  
Niech z pokojem się pokumam,  
Bom go stracił od tej doby,  
Kiedym żegnał polskie łany,  
Polskie rzeki, polskie groby,  
I mój polski lud stroskany.

Równe pola? .. Wszak to szaty  
Mej ojczyzny — Ukrainy!  
A te góry? — To Karpaty!  
A ten w polu strumień siny?  
Wszak to Wisła nasza cicha! ...  
Kiedy szczęście się uśmiecha  
Czegoż trzeba przyjaciela?  
By ojczyznę tu odstworzyć,  
Nowem życiem tutaj ożyć  
Czegoż brakło? Mówcie! — wiele?  
Brakło starej z drzewa chatki,  
I jaskółki i bociana;

Brakło w izbie polskiej matki,  
Co ubogo przyodziana,  
Patrzy z ławy uśmiechnięta  
Jak jej synek nagi, bosy,  
W swoje drobne wziął rączęta  
Wykrzywiony brzeszczot kosy,

I na drzewce go nabija;  
A na twarzy się rozpala  
I wesoło nim wywija  
I powtarza: na Moskala!

I żniwarzy nie ma w zbożu,  
Bajecznego niema kopca,  
Nie ma krzyża na rozdrożu;  
Wesołego nie ma chłopca,  
Co nim praca się zaczęła,  
Ku niebiosom oko zwrócił,  
Krzyż nakreślił, i zanucił:  
„Jeszcze Polska nie zginęła!”

I dudarza co się włóczy  
Po zagrodach, i co uczy  
Małe dzieci kochać Boga,  
I uczciwie żyć w swej chacie,  
I wypędzać z kraju wroga,  
Brakło także panie bracie.

Brakło wreszcie jednej rzeczy,  
Jasnej, wielkiej, która z świata  
Wznosi w niebo duch człowieczy,  
Która ludy razem brata,  
Która siły nasze mnoży,  
Która wolność naszą stworzy,  
Której zniszczyć siłą mieczy  
Nie mógł Polski mej morderca,  
Tu największej brakło rzeczy —  
Bo polskiego brakło serca!

AJO.

Rzym 15. Września 1867 r.

## TRZY SZLAKI

(z T. Szewczenki).

Hej trzy szlaki trzy szerokie  
Splotły się w drużynę,  
A trzech bracia, trzech rodzeni  
Poszli z Ukrainy.

Starą matkę opuszcili.  
Ten zostawił żonę,  
A ten siostrę, a najmłodszy  
Swoją narzeczoną.

Matka sadi trzy jasiony  
Hen gdzie czyste pole;  
A synowa posadziła  
Wysoką topolę.

Posadziła trzy jawory  
Siostra przy dolinie,  
A dziewczyna zaręczona  
Czerwoną kalinę.

Nie przyjęły się jawory,  
Usechł liść topoli,  
Z nią kalina i jasiony,  
Co stały śród pola.

\*) Wezwanie nu pomoc rontu wojskowego u moskali.



Nie wracają bracia do dom,  
Płyną łzy z ocz matki,  
Płacze żona w chłodnej chacie  
I sieroce dziatki.

Stośra idzie szukać braci  
Za sąsiadów radą;  
A dziewczynę zaręczoną  
W chłodną ziemię kładą.

Nie wiócili bracia do dom,  
W świecie się tułają,  
I trzy szlaki, trzy szerokie  
Cierniem zarastają.

## Zbieranie materiałów etnograficznych.

Chcąc zbadać dokładnie jaki naród, nie dość jest wiedzieć jakiego rodzaju były jego czynności; ale należy poznać go samego w treści jego wewnętrznej; nie dość jest znać Historję — potrzeba z nią połączyć znajomość Etnografji. Dwie te nauki wzajemnie się dopełniają. Pierwsza bez drugiej nigdy nie zdoła nam przedstawić prawdziwego obrazu narodu; zaś ostatnia bez historji, poda chwilę obecną, nie będzie jednak w stanie wytłumaczyć nam: dla czego rzeczy się mają tak, a nie inaczej?

Dotychczas historja mało zwracała uwagi na etnografję; i w tem leżała jej niedostateczność; może nigdzie jednak pole to nie zależało tak odlogiem, jak u nas. Parę zbiorów i to niedokładnych ludowych pieśni, kilka bajek, coś niecoś z rozprawek — oto i wszystko, czem się pochwalić możemy. Nawet nie doszliśmy do jasnego pojmowania: co mianowicie jest Etnografja? Dotychczas naukę tę zakreslano do koła rozpatrywania się w poezji, zwyczajach i obyczajach ludu — nic więcej! Gdy tymczasem Etnografja, w rozumieniu właściwym, obejmuje sobą naród cały, wszystkie jego warstwy, i dopełniając historję, daje nam obraz narodu w jego treści wewnętrznej, wyjaśniając owe tło, na którym widnieją jego wiekowe czynności — historja narodu. Pojmowanie powszechne, że tylko życie ludu wchodzi w zakres badań etnograficznych, a inne klasy ludności zostają na uboczu jest zupełnie błędne! Warstwy ponadludowe wyszły z ludu, są jego częścią, wraz z nim stanowiącą całość, której cząstkowe rozpatrywanie, z pominięciem pozostałych, będzie niedostatecznem, i już w założeniu rozminie się z swym celem.

Zwróciwszy uwagę na Galicję widzimy, że tu bardzo a bardzo niewiele zrobiono dla Etnografji. Dwa zbiory pieśni, których rozbiór krytyczny wykazałby wielkie braki, mało znaczące artykuły w pismach — to wszystko co zrobiono. Nie mieliśmy w pośród nas Chodakowskich, nie mamy Kolberga i innych; a przecież w żadnej z ziem polskich badania etnograficzne nie zdołają doprowadzić do takich rezultatów, jak w Galicji, szczególniejszej wschodniej. O Etnografji w rozciągnięciu znaczenia tego słowa u nas obecnie mowy być nie może! Do tego potrzeba dobrej woli poświęcenia się badaniom etnograficznym, której w nas nie ma, współudziału warstwy oświeconej, zasiłków pieniężnych, wreszcie poparcia samego rządu... zostawmy to

wiecz przyszłości! Ale obowiązkiem naszym i niepociągającym żadnych ofiar jest przygotowywanie materiałów etnograficznych, nagromadzanie cegieł do przyszłej budowy znajomości tego: kim jesteśmy? Jeżeli zwrócimy się tylko do ludu, odrazu wypadnie nam w oczy to, iż w nim obecnie, zbiciem okoliczności, spoczywa zbawienie nasze, Słowiańszczyzny i Europy może. W nim: tak zwana kwestja ruska, w nim słowiaństwo Moskwy i jej panowanie nad światem. Tak jest! znajomość ludu wschodniej Galicji, zrozumienie jego bytu wewnętrznego za pomocą dochodzeń drogą nauki Etnografji przekona wszystkich, że Rusin nie jest Moskałem, i przeciwnie, że Moskał nie ma żadnych praw do nazwy Rusina. Moskwa obecnie okrywszy swe mieso tatarskie skórą ruską, w imię skradzionej idei słowiańskiej, sili się zagarnąć Słowiańszczyznę, by zapanować światu; pretensje jej do słowianizmu opierają się na domniemanej tożsamości Moskali z narodem ruskim — widmo to zniknie, gdy nauka wyświeci jego nicość. Badania etnograficzne, powtarzamy, są najlepszą bronią przeciwko pochłaniającemu nas moskwicyzmowi; spróbujemy walczyć z nim takim orężem, a z pewnością zwyciężymy go prędzej, aniżeli odcylcowymi karabinami. A tem bardziej zachęcać do dzieła winno nas to, że żołnierzem tej rozumowej armji może być każdy, niepozbawiony dobrej woli służenia sprawie najważniejszej, bo byt nasz mającej na celu.

Niechaj każdy z obywateli wiejskich, bez silenia się na krasomowstwo, w prostych słowach opisze: 1) co szczególnego ma jego wioska w sobie: zameczysko, mogiły, pieczarę, skałę do której przywiązana legenda i t. d. 2) Jakie krążą pomiędzy ludem pieśni, podania, bajki, przysłowia i t. d. 3) Jak obchodzą obrzędy zaślubin, pogrzeb, chrzest, swaty i t. d. 4) Jaki jest ubiór włościan, strój, urządzenie domu, jakie zatrudnienie. 5) Co pozostało z zabobonów, przesądów, uroków, naszeptów, obrzędów pogańskich i t. d. 6) Jaki jest charakter ludu we włości, różny od sąsiednich i w czem mianowicie? 7) Czy mają jakie szczególniejsze narzędzia, różną uprawę ziemi, słowa nie używane gdzieindziej, rzemiosła; lubią życie spokojne, czy burzliwe; siedzenie na miejscu, czy wędrowkę; są li nabożni, czyli nie? moralni, lub też przeciwnie i t. d.

Gdyby każdy, powtarzamy, obywatel wiejski, obywatelka, przebywający na wsi student, akademik w czasie feryj, bodaj na niektóre podane tu zapytania dali wierną odpowiedź, nie wchodząc czy się coś z tego co usłyszą od ludu, lub się o nim dowiedzą podoba im, albo nie — w krótkim bardzo czasie nagromadzilibyśmy znakomite materiały, zdolne posłużyć do zwalczania wroga światła prawdy — najstraszniejszą bronią dla despotycznej ciemnoty.

Z naszej strony najchętniej podejmujemy się pośrednictwa w dziele tak ważnem: będziemy przyjmować nadysłane materiały; a gdy ich zbierze się znaczna ilość, postaramy się wpłynąć na ludzi fachowych, by zawiązano komisję Etnograficzną, która naukowo zużytkuje materiały, jakowe oby tylko jak najliczniej zechcieli nam nadsyłać wiejscy obywatele.



# Kłopot pana Bonifacego.

RAMOTKA.

(Dokończenie).

Pan Bonifacy wziął za, bułeczkę przypominającą, rękę pani Bonifacowej, i chwilę milczał, patrząc w jej tylko łoża obmyte oczy; wreszcie odsapnął, i oglądając się w koło, czy go nie podsłuchują, rzekł:

— Filciu! mam ci zwierzyć tajemnicę.

Pani Bonifacowa nie jeszcze nie rozumiała, ale przysunęła się bliżej do męża, słuchając go z uwagą.

— Uważałaś — rozpoczął pan Bonifacy — tego mężczyzny, co przyjechał z marszałkiem: suchy — w okularach?

— Uważałam. Nie podobał mi się! — odpowiedziała pani Bonifacowa.

— Uczony! — westchnął pan Bonifacy. — On to przyczyną mojego nieszczęścia. Ale na Boga żywego! nie mów o tem nikomu, bo mnie zgubisz. Pójdę na śmiech, a wtedy pożegnaj się z Deputatem!

Pani Bonifacowa westchnęła do pożądanego tytułu.

— Wiesz moja duszko — ciągnął dalej pan Bonifacy — że od lat trzydziestu czytam tylko berdyczowskie kalendarze, a uczonych obchodzę jak mogę zdaleka. Nie nie pomogło! przyszedł dopust Boży, i uczony dojechał mi końca!

— Ale jakimże sposobem? — przerwała mężowi pani Bonifacowa, nie wiele z jego słów zrozumiawszy.

— Zaraz ci powiem. Uważałaś, że ten djabeł — Panie odpuść! przyczepił się do mnie w czasie kolacji, i zawsze miał coś do powiedzenia, czego, Bóg mi świadkiem, nie rozumiałem... A tu jak natchnął Marszałek trzymał się nas ustawicznie; a wiesz, że mnie forytuje na Deputata...

Pani Bonifacowa powtórnie westchnęła, a pan Bonifacy mówił dalej.

— Przyczepił się jak pijawka i dogadywał, że mi każdy kasek zatrzymywał się w gardle, i dereniak mniej smakował od śliwownicy... aż wreszcie zapytał — uważasz duszo — ale jak zapytał? bodaj mu tego Bóg nie pamiętał!

Tu pan Bonifacy otarł pot rześisty, który mu oblewał łysinę.

— Zapytał — oczewiście na moją zgubę — co cięższe: funt kłaków, czy funt żelaza? — Uważasz?...

— No i coż dalej!

— Jakto dalej! Alboż tu czego więcej potrzeba?

— A co ci też Bóg dał! — zawołała wielce zgorzonna pani Bonifacowa — jest się czem kłopotać! głupstwem takim!

Pan Bonifacy patrzył na żonę, jakby własnemu przekonaniu nie dowierzając; ale za chwilę potrząsł głową, i rzekł smutnie.

— Nie głupstwo, moja Filciu!

— Phi! co cięższe: żelazo, czy klaki? A już ci żelazo!

— I ja tak odpowiedziałem; a przecież ten djabeł zaśmiał mi się w oczy, i zapytał: czy mogę dać na to dowód? Uważasz — dowód... Oczewiście odpowiedziałem, że nie łatwiejszego. Ten skwarek znowu w śmiech, a Marszałek powiada: Panie Bonifacy! nie wprzód że zostaniesz Deputatem, aż dowiedziesz coś przyrzekł; a śpiesz się, bo za trzy dni wybory.

— Chciałem im zaraz dać dowód jak na talerzu; ale ba! opatrzyłem się, a dowodu diabli mają... Jakby mnie kto obuchem w łeb zwał; a Marszałek jeszcze z powozu wołał: „Dowiedz, bo nie zostaniesz Deputatem!“

— Żono! czy ty myślisz, że to tak łatwo dowieść! Mnie dwa dni łeb usycha. A przecież rzecz jasna jak słońce: żelazo cięższe od kłaków. Ba! dowiedz że tu, bądź mądry. Niech diabli porwą wszystkich uczonych, że mi takiego klina zabił ten szelma!...

— „Zostaniesz deputatem, gdy dowiedziesz, że funt żelaza cięższy od funta kłaków“ — mówiła pani Bonifacowa, chodząc w zamyśleniu po pokoju; wreszcie zawołała stanowczo.

— Będiesz deputatem; albo ja nie dożyję!

Pan Bonifacy z wielkiej radości ucałował panią Bonifacową w oba policzki; ale wkrótce ochłonił z zapалу.

— Nie! nie! — rzekł padając na sofę — nie wymyślimy djabełskiego dowodu, i deputat przepadł; bo ja znam marszałka: jak się uprze — postawi na swoim. I zgubią człowieka, bo to mnie do grobu wpędzi. Tyle lat czekam na Deputata!

— Będiesz deputatem — pocieszała stroskanego małżonka pani Bonifacowa — pomyślimy tylko dobrze oboje!

Myśleli państwo Bonifacowstwo oboje, ale nie nie wymyśleli — dowodu nie było! Zawezwano do pomocy pannę Kunegundę, córki, domowników... Co żyje przemysłliwa nad dowodem.

W kuchni zgasł ogień, krowy nie dojrane, koniom nie dano obroku; bo cały dwór myśli nad dowodem, mającym zrobić pana Bonifacego deputatem.

Pan Bonifacy już blizki grobu, pani Bonifacowa schudła widocznie, panna Kunegunda bólu zębów dostała, i jako lekarstwo pokładła plasterki rzodkwi za uszy. Mincia, Finicia, Gincia i Pincia, wszystkie cztery przemysłliwając nad dowodem przyszły do przekonania, że pora już im wyjść za mąż, i na własną rękę kwasieć ogórki i robić nalewki dereniowe.

A dowodu nie ma!

Klnie uczonego pan Bonifacy, przeklina pani Bonifacowa i panna Kunegunda, której nawet gwoździkówka bólu zębów uśmierzyć nie może; a koniec końców djabełskiego dowodu nie ma!

Zguba, zguba oczewista!

— Wiesz co, Facuniu!

— Nie wiem nic, Filciu!

— Nie my tu nie wymyślimy.

— Podobno — smutnie odpowiedział pan Bonifacy, i z rozpaczą zaczął liczyć kwiatki na swoich papuciach.

— Jak uważasz — rzekła po chwili pani Bonifacowa do męża — czy nie byłoby dobrze posłać po Abramka.

— Po arendarza?

— To bardzo mądry człowiek...

— A mądry...

— Możeby on poradził?

— Masz rację, Filciu! on poradzi.

— Biegajcie po Abramka, niech mi tu zaraz przyjdzie. — Jeżeli arendarz nie zrobi mnie deputatem, to już mnie nikt nie robi!

Przyprowadzono Abramka. Żyd wysłuchał słów pana Bonifacego, i postanowił swoją pieczęć upiec przy tem ogniu.

— Ny, to jest niewielka rzecz — zaczął, wybijając palcami majufes na brzuchu. — Ja by na te bity zaradził; tylko...

— Co zechcesz dam! — przerwał mu pan Bonifacy. — Tylko zmiłuj się wybaw z kłopotu; niech wstydem nie płonę przed tym szelmą uczonym i przed marszałkiem. Jak mówiłem: opuszczę z raty; a zostawisz deputatem...

— Ny, to ja już wiem, że pan mojej krzywdy nie zechce. To ja teraz pójdę i popatrzę do „kabuły.“

— Idź że, idź Abramuniu! a nie baw się. — To łaska boska, żeś mi go przypomniała. Mądry żyd! on mnie zrobi deputatem!

Ledwie Abramko znikł za bramą, sądny dzień był w domu państwa Bonifacowstwa.

Marszałek przysłał posłańca, żądając przyrzeczonego dowodu, gdyż w przeciwnym razie na jutrzejszych wyborach nie poprze kandydatury pana Bonifacego.



## Korespondencje.

Paryż — Champ de Mars 1867 r.

Konająca wystawa przesyła wam ostatnie pozdrowienie. Chwila skonu dla ludzi i instytucyj jest bardzo ważną. Opadają chwilowe namiećności, rozwiązują się na swobodę języki, ubiegłe życie nieboszczyka staje w swej całości i domaga się nekrologu. Zmarłe instytucje domagają się historii, ale wasze „Nowiny“ chcą mieć tylko korespondencje. Nie będzie więc nekrologu, tem mniej historii, będzie krótka, ćwiartkowa korespondencja.

Dzisiejsza wystawa paryzka prześcigła dawniejsze wystawy znaczeniem i objętością. Starła się ona w istocie stać się wielką międzynarodową areną, wielkiem ogniskiem, w którym zestrzeliły się promienie wszystkich cywilizacji naszego globu. Dlatego też kraje najbardziej oddalone, mało znane bajeczne Indje, ślimaczo zamknięte Chiny, kosztowny Meksyk, umarły Egipt, omal że nie krainy mgliste tamtego świata przywiozły na wspólny rynek swoje płody i wyroby, częstokroć bardzo naiwne, lecz tak mile w swej naiwności przy bezdusznych parowych potworach Europy. Mówiąc językiem paryżan, wystawa jest to *le rendez vous de toutes les civilisations*.

Jednym z najciekawszych wydziałów dla filozofa (a zatem i dla ciebie, mój czytelniku) jest to wystawa etnograficzna. Zajmuje ona część gmachu przeznaczonego głównie na wystawę organów harmonicznych, i dla tego wędrownka etnograficzna jest zwykle uprzyjemnioną słodkim rozstapiającym głosem harmoniki. Na tej wystawie, w trzech salkach zawartej, znajdują się: etnograficzne mapy, wskazujące podział powierzchni ziemskiej pomiędzy głównymi jej rasami, różniąciami się nie tyle językiem, co pochodzeniem i fizjologicznym układem; fotografie najrozmaitszych typów plemiennych: ludzkie czaszki służące także za typy swego rodzaju; fantastyczne, przerażająco dzikie bóstwa narodów wschodniej Azji, przedewszystkiem indyjskie, mające już mniejszy może związek z badaniami fizjologicznej i anatomicznej etnografji, jaką jest przeważnie ta, o której mówimy.

Moskale, którym zaprzeczają poniekąd słusznie, europejskiego, słowiańskiego pochodzenia bardzo podejrzliwie spozierali na ową wystawę, tem bardziej, że jednym z bardziej czynnych członków jej urzędowej komisji był p. Duchński, znany apostoł niesłowiańskości Moskwy. Ażeby się wylegitymować przed tym europejskim etnograficznym trybunałem ze swej słowiańskości przysłali Moskałe na wystawę mózg jakiś, który ma być typowym mózgiem moskiewskiego szczepu. Pretensja, ażeby po tak szczupłym egzaminie otrzymać natychmiast patent na europejskość i słowiańskość, była trochę za wielka. Z resztą co za mózg? Któż słuszną zrobił uwagę, że właściwie byłoby Moskałom dla większego udowodnienia, przysłać żywego człowieka na wystawę, któremu już tam na miejscu mogliby mózg wyjąć ludzie specjali. Francuzcy uczeni znaleźli się z prawdziwie francuską grzecznością w obec moskiewskiej propozycji prędkiego zawyrokovania o słowiańskości Moskwy. Naprzód bardzo podziękowali za okaz, dodali później, że okaz ten posłuży do przyszłych badań etnograficznych. Na tem się skończyła sprawa egzaminowa. Widziałem ten mózg w odbiciu fotograficznem na wystawie.

(Dokończenie nastąpi).

Rospacz, cała rozpacz! Posłaniec czeka; a tu Abramko może nie miał jeszcze czasu do kabuły zaglądnąć.

Polecił pan Bonifacy do karczmy; pośpieszyła za nim pani Bonifacowa, córki i panna Kunegunda również znalazły się w siedzibie Abramka. Arendarz czyta w wielkiej księdze, i kiwa się na wszystkie strony. Pan Bonifacy ledwie-ledwie oddycha, i zimny pot ociera z czoła; pani Bonifacowa ręką wstrzymuje gwałtowne bicie serca.

Abramko wlepił wzrok w czarne belki sufitu; wreszcie po chwili rzekł poważnie.

— Jest dowód!

Pan Bonifacy, niepomny na godność obywatelską i nieprzyjaźń krwi chrzeczony do niechrzzonej, porwał Abramka za kark delikatny, i trzykrotnie ucałował go w ruda brodę; pani Bonifacowej aż lzy zakreśliły się w oczach, a panna Kunegunda włożyła na nos okulary, strofując najmłodszą Pincię, że zbyt często zagląda do szynkownej izby, napelnionej wracającymi z jarmarku chłopami.

— Pisz pan — rzekł Abramko do pana Bonifacego. Pan Bonifacy wziął pióro do ręki, ale je wnet oddał pani Bonifacowej. Pani Bonifacowa opatrzyła się, że nie ma okularów, i oddała pióro Minci; Mincia Ginci, Gincia Finci, a Fincia Pinci; ta zaś ostatnia pannie Kunegundzie, która nie wpierw wzięła się do pisania, aż wydobywszy nowe okulary, z neseseru podarowanego jej przed 30 laty przez młodego porucznika od ułanów, który niezawodnie byłby się z nią ożenił, gdyby nie utonął w stawie, nie wiadomo tylko przypadkiem, czy też rozmyślnie.

Abramko list dyktował, wszyscy go stylizowali, a panna Kunegunda pisała.

W ostatniej redakcji list brzmiał jak następuje:

„Jaśnie Wielmożny Marszałku Dobrodzieju!

Mam dowód w ręku, że nie zawsze uczony bywa mędrszym od nieuczonego; jakoż dowiodłem, że funt żelaza cięższy od funta kłaków, bo gdym kłakami o stół uderzył, to mu się nic nie stało, a funtowa żelazna waga zrobiła w nim dziurę, którą może oglądnąć pan Marszałek i jego uczony.

Piszę się powolnym sługą JW. Marszałka Dobrodzieja, oczekując poparcia kandydatury.

Najniższy sługa Bonifacy.

Jaśnie Wielmożnej Marszałkowej raczki całuję.\*

W tryumfie, osobiście poniósł pan Bonifacy ów list pomysłu Abramkowego, i wręczywszy go posłańcowi, odechnął pełną piersią.

Pewny wygranej, ucałował pan Bonifacy żonę, córki i mimo protestu pannę Kunegundę; kazał sobie podać barszczyk i gołąbki; zmiotł je z apetytem, wraz ze spóźnionym obiadem, i chrapnął uciwie.

Nie wiadomo, czy dowód zawarty w liście posłużył panu Bonifacemu przy wyborach; ale to pewna, że nazajutrz obudziła go słodka wiadomość, iż został deputatem.

Deputat pan Bonifacy zakupił mszę dziękczynną, i w czasie nabożeństwa uczynił wotum: unikać statecznie uczonych; a jeśli już Bóg nie uchowa, że wypadnie spotkać się z podobnymi ludźmi, to nie słuchać co mówią, i nigdy w życiu nie myśleć.

Dość jednej frycówki! Starego wróbla pana deputata już odtąd nikt nie złapie na plewę.

Abramko został sownie udarowany za mądry dowód z „kabuły“, a pan Bonifacy otrzymał święcie słowa: raz tylko chciał się zamysleć, gdy mu w jednym roku pięciu wnuków dały córki — ale przypomniał sobie wotum, i odegnał pokusę miarą dereniaku i barszczykiem ze szperką.

P. Stachurski.



## Mody.

Deszcze, śniegi, zawieruchy, mrozy ogłosiły nadpółtewskie wały z modnej publiczności, i z głową zwieszoną na piersi stoje przy słupkach — samotny, jak na pustyni. Co począć? O czym pisać?... Byłem bliski rozpacz, i już zamierzałem własną osobą zmierzyć głębie rzeczne, puściwszy się na fale; gdy mój dobry duch opiekuńczy uratował głośnym wykrzyknikiem — Stój, szaleńcze!

Stałem; a następnie już prawo ruchu spowodowało, że po krótkiej wędrówce znalazłem się u źródła; byłem w świątyni mody, prozaicznie przezwanej magazynem mód p. Lewickiego.

Co za olśniewający widok! Wstrzymuję bicie serca, ręką zakrywam oczy, ale przez szpary u palców cisną się kapelusze, stroiki, pióra i setki innych rzeczy, za którymi wzdycha nie jedna dorastająca piękność, w tajemnicy od mamy czytająca czuły romans o nieszczęśliwej parze kochanków...

Gdybym miał cztery pióra i dwa arkusze pewnego pisma, goniącego resztkami dawnej wziętości, nie zdołałbym wszystkiego opisać, zrejestrować nawet. Modo! oto stoje u twych ołtarzy przejęty pobożną skrucą, wylewam ci na ofiarę sporą miarę inkaustu, wznosząc trzykrotny okrzyk: „sława!“ jakkolwiek różny od tego, który wznosili bracia słowianie na bankietach moskiewskich.

Na opis mód w N. przyszłym składa się gremjum magazynu p. Lewickiego. W obec faktu takiej doniosłości należałoby mi zamilczeć z pokorą... i w rzeczy samej złożyłbym broń przed tą potęgą, gdyby nie obietnica poprzednio uczyniona; a ja mam wadę słowności, za którą nie raz gorzko pokutowałem, bo to dziś nie w modzie.

Świątynia mody natchnęła mnie. Jak pyta z trójnoga, wyszczę Wam piękne panie, że Paryż, ów nieporównany Paryż już orzekł: w co ma się stroić płeć piękna, jeśli chce być piękna po paryżku. — Długie ogony u sukien... Horror! Jestem nieprzyjacielem ogonów; a one dziś górą! pomimo, że zadaniem ich wlec się po ziemi; a *le Moniteur de la mode* na moje utrapienie uroczyście zapewnia, że panowania ich nie zwyciężą żadne bramy... gdyż paryżkie panie mają (przebaczenia!) nie ładne nóżki...

Takim sposobem precz mi ze smutkiem! bo z naszych pań żadna długiej sukni nie włoży... A więc: niech żyją suknie bez ogonów!

Pamiętacie panie wiersz Mickiewicza:

„Precz z mego serca!“ i t. d.

Otoż i mnie pamięć psuje głowę, że w N. 1m potrafiłem o metempsychozę — nieszczęśliwy traktat, a tak uczony, że o nim nawet w Naukowem Towarzystwie krakowskiem nie wiele mówią.

Ma on niejake podobieństwo do węzła gordyjskiego, przynajmniej o tyle, że nie łamiąc sobie głowy nad rozwiązaniem, odrazu przetnę go po Aleksandrowsku (A nie sądźcie panie, że mam tu na myśli białego cara, bo lwowski korespondent Dziennika Warszawskiego gotów posłać o tem korespondencję).

Myślicie panie: co są krynoliny? — Nic innego jak krwiożercze oręż despotów, pokutujące za dawniejsze przewinienia. A pióra na kapelusikach pań? To błędny rycerz średniowieczny, który w swem życiu nie obronił równej liczby st u niewinności, zamkniętych w wieżach przez nieludzkich tyranów. A ów metalowy guzik u łona cudnej Herminy? To nowożytny wojownik, który za życia podkręcał wąsiki, czasy bitew przesiadując w szpitalu, lub co gorsza — w rowie. A ten sztylecik tkwiący już

jako szpilka w hebanowym warkoczu królowej salonu? To dusze tych ofiar miłości z pod włoskiego nieba, które *vendettę* niby ekstrapocztą, wyprawiały zdrajców na pola elizejskie. A ów zgrabny kapturek, na plecach piękności? To... Z definicją wstrzymuję się do ostatecznego zdecydowania kwestji konkordatu.

Mówią nam, że Rzym i Grecja zginęły... Bajka! Żyją one — w tunikach sukien ostatniej mody, w sposobie noszenia szalów *en péplum* i t. d. A wszystko to, razem wzięte czemże jest, jeśli nie metempsychozą?... Związek zaś jej z modą tak jasny jak słońce!

Otoż rozprawilem się z Egiptem, i wracam znowu do paryżskiego Monitora mód. Zapowiada on, że mnogość brylantów, złoto i kwiaty będą tej zimy służyły do ubrania głów piękności. Piękne a cenne głowy! W odniesieniu jednak do stosunków miejscowych, ilość naszych czytelników pozwala mi wnosić, że w Galicji piękne panie poprzestaną na kwiatach; gdyż o brylanty nieco trudniej u nas, gdzie propinacja zagrożona przez centralów wiedeńskich — liberalnych, gdy nie chodzi o ich kieszenie.

Strój polski kobiecy z nad Wisły przeniosł się nad Sekwanę, i doznał tam gościnnego przyjęcia. Zapewne tą samą drogą udały się czamary i rogatywki, których miejsce zajęły u nas fraki i cylindry; czy z korzyścią dla nas? nie wiem...

Owoż i wszystko cokolwiek miałem powiedzieć. Pozostaje mi jeszcze skarga przed Wami piękne panie, że sługę waszego skrytykowano bez litości; wielkie tylko szczęście, iż krzykacz nie należący do płci brzydkiej, o którą dbam mało, wyjąwszy gdy chodzi o nieodmówienie płci pięknej kilku złotych dla zaprenumerowania „Nowin.“ Nie podobał się im mój podpis!... Było to *incognito*, które chciałem zachować, oszczędzając mych nieprzyjaciół; ale teraz maska zrzuciona! oko w oko stoję przed wami zoile! i jak niegdyś p. Baranowski ze sceny, wołam na was: Mieszkam — tam gdzie mieszkam! a nazywam się

Modny,

zawsze najniższy sługa płci pięknej.

## Rozmaitości.

— Najj. Pan nabył na własność znany obraz Matejki Upadek Polski za 50.000 franków, i ołówkowe obrazy Grotgera za 8.000 franków.

— W Poznaniu 2. listopada zabrała policja cały nakład nowego dzieła pułkownika E. Callier p. t. Trzy ustępy z powstania polskiego 1863/4-

— P. Maurycy hr. Dzieduszycki napisał powieść historyczną z czasów Zygmunta Augusta, którą p. Wild zamierza ogłosić własnym nakładem.

— P. Filippi pracuje nad pomnikiem generała Dwernickiego, który ma być ustawionym w kościele OO. Dominikanów we Lwowie.

— P. Leopolski wykańcza wielki obraz, przedstawiający ostatnie chwile Klonowicza.

— P. Szlegel zamierza urządzić wystawę swych obrazów w sali Biblioteki Ossolińskich, na rzecz funduszu restauracji pomników dominikańskich.

— Drugi tom Literatury Polskiej L. Rycharskiego opuścił prasę.

— Nauczyciele szkół galicyjskich zamierzają zawiązać stowarzyszenie nauczycieli, którego organem ma być tygodniowe pismo „Szkoła“ pod redakcją prof. Maszkowskiego.

— Niemordowany nasz Kraszewski zamieszcza nową swą powieść p. t. Ongi w Tygodniku Ilustrowanym warszawskim, a prócz tego w tymże dzienniku zamieszcza szereg listów z zagranicy o zagranicy, częstokroć bardzo interesujących.

— Moskiewsko-ruski teatr lwowski, pod dyrekcją p. Baczynskiego, zakończył swą doczesną wędrówkę. Pan dyrektor, w uznanie zasług położonych około krzewienia moskiewizmu w Galicji, dostał dyrekcję moskiewskiego teatru w Kamieńcu, z roczną subwencją 3.000 rubli. Pani Baczynska, z dobrej artystki na scenie polskiej zostawszy mierną na ruskiej, obecnie na scenie moskiewskiej zdołał łaskawy chleb dyrektorski.



Pan Rodecki, fotograf przy ulicy Majera, udzielił nam wyjaśnienia co do faktu zanotowanego w pierwszym numerze „Nowin” — w skutek których z gotowością pospieszamy cofnąć cokolwiek by było w naszej wzmiance narażającego sławę firmy fotograficznej.

— Galicyjskie Towarzystwo muzyczne zamierza dać dwa koncerty na cele dobroczynne.

— Niedosięgniętym wzorem elegancji jest dziś dla Europy pan Haussmann, burmistrz Paryża. Nowy Paryż na długo zostanie pomnikiem nie tylko jego praktyczności, wysoko rozwiniętego zamiłowania komfortu, jego manji walenia i przebudowywania nieustannego, ku wielkiemu niezadowoleniu tych, którzy dają pieniądze na to wszystko; ale i bezsprzecznie dobrego smaku nadętego pana mera, czego mu nie odmawiają nawet najzaciętsi przeciwnicy jego. Przy tegorocznych uroczystościach z powodu wystawy, miał pan Haussmann dość sposobności rozwinąć w całej pełni niezrównany swój talent urządzania festynów; ale bankiet dany dnia 28. z. m. w ratuszu paryżkim na cześć cesarza Austrii, jest nawet dla paryżanów, przyzwyczajonych do bajecznego przepychu publicznych uroczystości czemś niezapamiętanem. Cały front olbrzymi ratusza przepysznie był iluminowany gazowym światłem od dołu aż do szczytu, a magicznej wspinałości urządzenia wewnętrznego niepodobna opisać. Bogate festony i bukiety z najwyszukańszych kwiatów egzotycznych, niezliczone światła przyszlusowane różnokolorowymi szkiełkami mat, albo bijące w oczy całą jaskrawą świetnością, łamiące się znow i odzwierając w nieprzeliczonych fontannach krystalowych i zwierciadłach — wszystko to mieszało się w nieskończoną mieszaninę barw i światła, grą olśniewającą, magiczną — a pomimo to tyle w tej jaskrawej różnorodności było ładu i harmonji, że nawet surowy sąd estetyków musiał to uznać. Paryżanie mówili, że tego dnia pan Haussmann przewyższył samego siebie.

Cesarz austriacki ubrany był w jeneralski mundur węgierskiej jazdy w białym dołmanie, w kołpaku z pysznym pióropuszem; cesarz francuski także w mundurze jeneralskim. Cesarzowa była ubrana w białą suknię koronkową, narzucaną srebrnymi gwiazdkami; druga po niej królowa salonnów paryżkich, księżna Metternich, żona poła austriackiego miała także białą, bogato fałdzistą suknię gazową z długim ogonem, a po tej krótszą, z ciężkiej materji jedwabnej żółtej, na szyi i we włosach bogate sznury brylantowe. Ogólną charakterystyką strojów na tym balu były długie ogony, i głęboko wycięte staniki.

— Rubinstein, obecnie uznany za największego po Liszcie pianistę, święci prawdziwie tryumfalne swe koncerty we Wiedniu, Dreźnie i Pradze. Cały świat muzyczny zachwycony jego grą, nie może dość pochwał znaleźć dla wielkiego mistrza. Będziemy mieli sposobność podziwiać tę grę, gdyż p. R. zamierza przybyć do Lwowa.

— Temi dniami zmarł w Petersburgu człowiek, którego życie dziwnie kontrastowało z zamożnością wykrytą dopiero po śmierci. Jest nim G. Komorow kucharz hrabiny Orlów Danissowej. Po dwudziestopięcioletniej służbie dostał łaskawy chleb i wszelkie połączone z nim wygody, lecz do ostatniej chwili życia był ten pocziwiec tak skąpy, że odmawiał sobie rzeczy niezbędnych. Ze skargą na ustach na ubóstwo i najdokuczliwszą nędzę skonał; a oto po śmierci znaleziono u niego kapitał sześćdziesiąt siedm tysięcy rubli! Na łożu śmiercielnem zapytywany kilkakrotnie, czyby nie miał jakich dyzpozycyj majątkowych poczynić, odpowiadał z boleścią, że oprócz swych łachów zgola nie posiadał i nie posiada. — Zналиśmy osobiście pewnego obywatela z Zbruczem, który całe życie żywił się pieczonkami kartoflami, a po śmierci zostawił majątek wartujący dwa miliony rubli sr.! Są ludzie, którzy żyją widokiem złota — rzecz zadziwiająca jaką potęgę ma ten martwy kruszec.

— W zamku Miramare, własności s. p. cesarza Maksymiliana, znajdują się: 1) skarbiec srebra; 2) galerja obrazów; 3) egiptologiczne muzeum i 4) bardzo interesowny zbiór starożytności meksykańskich. O pozostałość po Cesarzu upominają się dwa dwory Austriacki i Belgijski. Spór toczy się na drodze prawa.

— Na wielkiej wystawie paryżkiej, wśród galerji obrazów znajdował się także misternie i starannie wykonany portret cesarza Napoleona pędzla p. Cabanal. Pewien jegomość, przypatrując się portretowi, obrzucił go

właśnie w miejscu ócz surowem jajem. Przyaresztowany natychmiast przez policję tłumaczył swój postępek tem, że już od dawna cierpi szczególny wstręt do wszystkich utworów p. Cabanal, i to było powodem, że publicznie znieważył jego utwór. Rzecz niewątpliwa, iż tłumaczenie to niezadowolilo policję.

— Ostatnimi czasy opuściło prasę berlińską dzieło Dr. S. Kuppego, p. t. „Ustawy dawnej i czczypospolitej polskiej:“ Praca ta znakomicie opracowana przez uczonego Niemca, nie małą jest przysługą dla czytającej publiczności niemieckiej, której pojęcia o zakresie politycznym i prawodawstwie naszego narodu, dotychczas jeszcze nie zupełnie są ustalone.

— Wszystkie dzieła sławnego kompozytora J. Bacha w liczbie 66 tomów zostały wydane w księgarni C. J. Peters Bureau de Musique w Lipsku. Wydanie to zawiera w sobie bardzo wiele utworów Bacha dotychczas jeszcze muzykalnej publiczności nie znanych.

— Pismo tygodniowe poświęcone sztuce lekarskiej redagowane w Wiedniu podaje interesowne szczegóły o tegorocznej epidemji cholerycznej z którego ustęp wyjmujemy: Tegoroczna epidemja choleryczna w Europie nie miała wcale charakteru wędrowki epidemicznej, gdyż jej zakres ograniczał się tylko na niektóre Państwa i nigdzie nie wychodził po za obręby lokalnej słabości. I tak panowała ona wyłącznie tylko na Zachodzie i północnym wschodzie europejskiego kontynentu; natomiast na południowym krańcu z małymi wyjątkami nie była zbyt sroga. Najwięcej ofiar żebrała cholera w Hollandji, Moskwie i w południowych Włoszech, na wybrzeżach zaś północnych Czarnejgóry i Dalmacji najslabsze jej były objawy.

— Otwarta obecnie wystawa coroczna galerji obrazów carskiej akademji sztuk w Petersburgu ściągą, podług doniesień korespondentów, znaczną bardzo liczbę odwiedzającej publiczności. Pewien wyłącznie sztuce i artyzmowi poświęcony dziennik niemiecki, nie bardzo pochlebnie wyraża się o wartości utworów pp: Rywajowskiego, Karceżowa, Kłodta, jakoteż Kellera, Makowskiego i Bertinga, o których powiada, że komisja osadzająca znajduje się w niemiłym kłopotcie co do przyznania nagród, gdyż żaden z tych utworów nie zasługuje na odszczególnienie tak treścią jak też wykonaniem w obec dzisiejszego wymagania krytyki artystycznej.

— Burmistrz i rada gminna pewnego miasteczka, chcąc godnie przyjąć znakomitość chwilowo goszczącą w mieście, nie tylko że zarządził poustawiać łuki tryumfalne, na wieży rozwiesić chorągiew, ulice pozamiatać; ale na dowód wysokiej czei i poważania, rękę wskazującą drogę na drogowskazu ozdobił przepyszną rękawiczką z żółtymi kutasami. Zapewniamy, że fakt ten nie miał miejsca w Galicji.

— Tegoroczny karnawał warszawski ma być uświetniony wspaniałą panslawistyczną ucztą, odbyć się mającą w lokalnościach klubu moskiewskiego. Oprócz zaproszonych przeszło 500 moskali i moskiewek (Postępi!) z Grodna, Wilna, Pskowa, Petersburga — dają sobie tam rendez vous moskalofile ze Lwowa, Pragi, Olomuńca i t. d. Przeszło 300 kart zapraszających już rozesłano w Austrii. Program obecnie bardzo wspaniałomyślnie: bezpłatny przejazd od granic Państwa austriackiego do Warszawy tam i napowrót, również świetne podejmowanie i lokal bezpłatny przez cały czas trwania festynu w najpiękniejszych hotelach, już teraz na ten cel wynajętych. Pierwszego dnia zwiedzą czcigodni goście wszystkie godne widzenia osobliwości miasta, poczem nastąpi bankiet na 800 osób z hymnem i wszechmoskiewskimi toastami w lokalnościach klubu moskiewskiego, po którym goście udadzą się do wielkiego teatru na przedstawienie opery i baletu. W drugim dniu odbędzie się wielki koncert w Łazienkach, wykonany przez artystów z Petersburga i Pragi. W podobny sposób zabawią się i następnych dni, a po oddaniu sobie wzajemnie wizyt, rozjadą się do domu. Niech żyje idea moskiewsko-wszechsłowiańska, wcielona w pjaną tuszczę katów Słowiańszczyzny i jej wyrodných synów!



Do dzisiejszego numeru dołącza się kolorowana rycina mód, kroje i wzory z opisem — dla prenumerujących się na dodatek.

## T R E Ś Ć :

Moskal. (Ciąg dalszy). — La Campagna Romana. — Trzy szlaki (z T. Szewczenki). — Zbieranie materiałów etnograficznych. — Kłopot pana Bonifacego. (Dokończenie). — Korespondencja z Paryża. — Mody. — Rozmaitości.